



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartal. tal. pr. i sgr. 20.

DWA GROBOWCE

(z Coppée'go).

Timur, zdobywca Hindu i Persyi, mąż srogi,
Przed którym, jako przed lwem, na rozstajne drogi
Rozbiegały się ludy, niby trzoda podła,
Timur Leng czcił w grobowcach wielkie śmierci
[godła.

Więc kiedy w swojej krwawej wędrowce po świecie,
Jako kosarz, co w polu dzielnie kosą miecie,
Chan wyciął ludność miasta, a gniewliwy srodze,
Kuruhany z czaszek ludzkich ustawił po drodze,
By jak łuki zwycięstwa leżały pokotem,—
Z konia, kulbaczonego purpurą i złotem,
Przy brzęku surm bojowych, ów pierwszy z mocarzy
Zsiadał w niemej zadumie, u progów cmentarzy,
Kędy panuje cisza śmierci niezbadana;
A gdy tam grób napotkał mocarza lub chana,
Co za życia wiódł w pole wojowników krocie,
Albo świętego mułły, co w zbożnej prostocie,
Ku niebu się dobierał trudem i mozołem,
Chan klękał, chylił głowę i o gład bił czołem.

Onego czasu, w wielkie Ramazanu święto,
Tuz, słynne miasto, ponad Białą Rzeką wzięto.
A kiedy cisza nad niem zaległa ponura,
Ogłu-bek, wódz Nogajców, jał błagać Timura,
Aby od miecza ludność miasta ocalała,
Bowiem tam zmarł Firduzu, Persistanu chwala.

Więc Timur swym Mongołom kazał schylić wło-
[cznie,
I by prawdę słów wodza sam stwierdzić naocznie,
Dał znak, aby grobowca marmurowe ściany
W pył się rozpadły....
Grób był różami zasłany.

Zdziwił się wielce mocarz i pomyślał: „Jeśli
Tych, co słowo miłości między ludzi niesli,
Najwonnejszy zpomiędzy kwiatów grób oplata,
Jakiż śmierć da spoczynek dla zdobywców świata?“
Więc szedł do Kara-Karum, w Tartaryi głębokiej,
Gdzie w trumnie z miedzi leżą Temudżyna zwłoki,
Co tam leżał w wieczne czasy, krwi i sławy syty....
I kiedy marmurowe odwalono płyty,
Pod którymi spoczywał chan, zdobywca dumny....
Timur cofnął się i zbladł....

Krew płynęła z trumny.
Wacław Szymanowski.

OBOWIĄZEK

(Streszczenie z Samuela Smiles).

(Dokończenie).

Ogromna potęga drukowanej litery wkłada ogromną odpowiedzialność na pisarzy. Odpowiadają oni za złe, które wszczepią, jak należy im się zasługa za dobre, które rozpowszechnią. Złe książki nazywa Smiles trędowatemi: „leprous“, roznoszą bowiem zarazę, której udzielają bibliotekom publicznym, domom rodzinnym. Książki takie mo-

gą nawet być pisane z talentem, z artyzmem literackim, i wtedy stają się najgorszymi. Sterne powiedział, że „zepsucie traci połowę swej szkodliwości, gdy przestaje być grubem“, ale fałszywe to pojęcie rzeczy, bo dzieje się właśnie naodwrot. Grubość cyniczna oburzy i odstręczy, gdy złe ubrane w słowa gładkie i doborowe, przedstawione w obrazach kłamliwego piękna, oświecone blaskiem sztucznego zapachu, głębiej wpaja się nam w umysł. Smiles zwraca się do chorobliwych powieści, czytanych jednak licznie przez kobiety młode. Pisane stylem świetnym i porywającym, są one jednak pełne moralnego fałszu, zatrute tchnieniem nieczystym i niepoczciwym pojęciem życia, jego obowiązków i poważnych nakazów powinności. Często taka powieść zaczyna się od morderstwa a kończy na złamaniu wiary przysiężonemu obowiązkowi, więc na nieuczciwości i upadku. Najgorsze z takich powieści piszą w Anglii kobiety—dodaje Smiles i dowodzi szkodliwości takich książek już przez to samo, że trzymają one umysł w stanie ciągłego niezadowolenia z życia cichych i skromnych obowiązków, że zaszczepiają gorączkę i pożądlivość wrażeń, że upajają narkotykami, które trują. Autorstwo takich powieści daje dowód płaskości umysłowej i razem nędzy moralnej. Rzucają się na przedmioty drastyczne ci, którym brak wyższego talentu nie pozwala wydobyc z podnioslejszych a zarazem prostszych motywów, wielkich i wstrząsających wstrząśnień uczucia i wyobraźni. Są to przytem zwykłe ludzie, którzy sami podeptali święte względy uczciwych obyczajów, jeżeli nie polują nędznie na poczytność i płynące ztąd zyski. Autor *Pięknej Heleny* nie pozwalał nigdy córkom bywać w teatrze na brzydkich operetkach swoich: truł dzieci innych, zabijał czystość i szlachetność kobiet, psuł smak i rozbudzał nędzne upodobania w ogóle publiczności—dla grosza!...

Jakże innym jest wpływ sztuki szlachetnej, książki uczciwie dobrej, która tchnie w społe-

czeństwo, jędrność moralnego zdrowia, uwielbia piękno czyste, bohaterstwo i podniosłość ducha.

Jako wzór pisarzy uczciwych, którzy nigdy nie zawinili przeciw moralności, nigdy nie zepsuli nikogo, nie splamili wyobraźni niczyjej, stawia Smiles: Walter-Scotta i Dickensa. A niemniej byli to pisarze niezmiernie poczytni; umieli zająć umysły w stopniu bardzo wysokim, na co starczył im talent ich, czysty zawsze i szlachetny. Gdyby przecieży przy sile i wpływowości swojej działali na umysły w sposób przeciwny, ileż złego zrobili by w stanie: ile duchów w dół ściągnąć, ile trawiącej gorączki zapalić? Sprawcą takiego zła jest obecnie Zola i zastęp jego naśladowców. Zowią się naturalistami, lecz fałszywie przybierają sobie tę nazwę, czy tytuł. Naturalista, czyli pisarz malujący wiernie naturę człowieka, nie potrzebuje przedstawiać wyłącznie obrazów brudnych i namiętności zwierzęcych, chyba że według przekonań jego, podniesienie się ponad zwierzęcość jest u człowieka nienaturalnością; wyrodzeniem się, lub stanem sztucznym i przejściowym.

Pisarz, siejący zepsucie, jest istotą społecznie szkodliwszą od człowieka, który sam źle żyje. Złe jego, raz popełnione, trwa dłużej nad własną jego wolę ku złemu skłonioną: cofnąć go już nie może, bo *scripta manent*. Książka napisana, może też być dla pisarza źródłem pociechy, lub żalu i wyrzutów sumienia. Smiles przytacza za przykład tego wyznania poety, Wordsworth'a, uczynione przyjacielowi w tym wieku już sędziwym, gdy względy próżności literackiej, a nawet dumy osobistej, usuwają się wobec wyższych, podniosłej skierowanych myśli.

— „Jakkolwiek świat może sądzić mnie i poezye moje — mówił — jest już teraz dla mnie rzeczą małej wagi; ale to stanowi pociechę mej starości, że w tem wszystkim, com pisał od dni młodości mojej, nie ma ani jednego wiersza, który chciałbym wykreślić teraz ze względu na rozbudzenie niższych namiętności ludzkiej natury. I to krzepi mnie obecnie na drogę ostatnią, że nie będę szerzył złego po odejściu już ztąd mojem“.

A wielką to jest dla każdej istoty ludzkiej ta chwila, gdy starzec, zwracając wzrok poza siebie, oblicza się z żywotem swoim. Młodzieniec wstępuje zwykle w szranki życia z zapalem i dumnym tem uczuciem, że ma dość sił do przebycia wszystkich zapór, jakie zastąpić mu mogą drogę. — Łam, czego rozum nie złamie! Ale poranek przechodzi zwolna w południe; dzień się chyli ku zachodowi, poza którym jest — noc. Wyrok to nieodwołalny, który nie omija nikogo. Koniec życia, to życia tego skutek. Przeszłość nasza idzie za nami: myśli, uczucia, czyny nasze wnikają w nas i tworzą tę istotę, którą jesteśmy u dni naszych ostatka. Z tym zapasem, któryśmy zebrali, odchodzimy w zaświat. Nikt nie oparł się tej potędze: „tajemniczemu posłowi“, jak Carlyle śmierć nazywa. Miejsca, kędyśmy przebywali, cierpieli, pragnęli, kochali, przestana nas znać wkrótce. Gdy ostatnie ziarenko piasku wysypie się z klepsydry — następuje wielki spoczynek! Smiles przytacza wspomnienia jakiegoś angielskiego męża, który, będąc w Eskurialu i oglądając tam sławny obraz Tycyana: „Wieczera Pańska“, spotkał się ze starym Hieronimem, a ten mu rzekł: — Siadam codziennie naprzeciw tego obrazu, blisko trzy dziesiątki lat; przez ten czas wszyscy z moich towarzyszy opuścili mnie, odchodząc jeden za drugim. Najpierw wszyscy ci, co mi byli starszymi, potem wszyscy moi rówieśnicy i wielu, bardzo wielu młodszych odemnie. Więcej niżeli jedno pokolenie zeszło z ziemi, a postaci namalowane na tym obrazie pozostały takimi, jak były — niezmiennione! Patrzę na nie tak długo, że niekiedy wydaje mi się, że to one są rzeczywistością, a my cieniami“.

I on sam przeszedł jak cień, a obraz: kawałek zamalowanego płótna, pozostał...
Gdy zatrzymujemy się tu zadługo, źle jest nam z tem: stajemy się ciężarem dla samych siebie i dla innych. Wiedza, że umierać trzeba, jest niemniej ważną od tej: jak umierać? Perthes powiedział, że widok starców przypomina mu zawsze słowa, któremi Fryderyk Wielki zawołał na grenadyerów swoich, cofających się przed niebezpieczeństwem:

— A wy psy!... czyż sądzicie, że życie wasze będzie wiecznem?

Cyrus Wielki kazał napisać na grobowcu swoim: — „O człowieku, ktokolwiek będziesz i zkadkolwiek tu przyjdiesz, bo to wiem, iż przyjsz musisz, wiedz, że jestem tu ja: Cyrus, założyciel perskiego państwa i nie zazdrość mi tego kawałka ziemi, pokrywającej me zwłoki“. Alexander Macedoński był owym człowiekiem, który przyszedł: wstrząsnęła nim ciężko myśl, jak znikomą rzeczą jest człowiek i jego wielkość. A gdy ktoś rozburzył grobowiec dla otworzenia go, wydał go na śmierć, jako świętokradzcę. A przecieży i to było dowodem, jak człowiek jest znikomym cieniem! Ktoś zawołał: — umrzesz! i oto życia jego staje się koniec!

Rozpacz ogarnia ludzi bardzo ambitnych i nieograniczonych w pragnieniu władzy i działania, gdy zabraknie im celu do wywierania potęgi swojej. Podobnie dzieje się z istotami egoistycznej natury, gdy nadchodzi śmierć. Alexander Wielki płakał, że niema już królestw do podbicia, Mahmuud, pierwszy Mahometowski zdobywca Indii, czując się blizkim śmierci kazał zgromadzić wszystkie skarby swoje w złocie i klejnotach, aby również zapłakać nad niemi. — Niestety! — zawołał, — ileż niebezpieczeństw, ileż trudów ciała i umysłu kosztowało mnie to, że je zebrałem! Ile troski i trudu trzeba było znieść, abym je mógł zachować: a teraz oto muszę umrzeć i — odstąpić ich... Pochowano go wpośród pysznego jego pałacu i wytworzyła się między mieszkańcami jego stolicy wiara, iż pokutuje w nim — wraca duchem niezabawionym do skarbów swoich i błądzi w miejscach, kędy odejść ich musiał. I u nas, i u wszystkich narodów utrzymuje się podobnie między ludem przekonanie, że skąpcy pokutują przy skarbach swoich. Lud nasz wierzy ogólnie, że człowiek, namiętnie przywiązany do czegoś na ziemi, nie może oderwać się potem duchem od tego ukochania swego i tak oto ma się dzieć z matkami, które zostawia dzieci sierotami. Wracają, aby utulić, pokarmić i niema okolicy, w którejby nie istniała legenda o takim powracającym do sierotki swojej ducha matki. „Miłość mocniejsza jest, niżeli śmierć“.

Między temi duchami powracającymi na ziemię lud zna przecieży różnice. Jedne, już zbawione, schodzą tylko na ziemię kwoli jakiejś pomocy, ukochaniam swoim dawanej; inne pokutują w miejscach grzechów popełnionych i jest to kara, wymierzona na nich przez sprawiedliwość Bożką za złe, niskie, lichę umiłowania. Dlatego też formuła, którą należy je witać, jest: — Wszelki duch Pana Boga chwali... — Duch dobry odpowiada: — I ja go chwale... to znak, że choćby nawet był pokutującym, jest jednak na drodze zbawienia i nie stał się potępnym.

Pewien z bogactwem przedsiębiorca manchesterki, leżąc na łożu śmierci, kazał przynieść sobie stos nowych gwinei i rozsypawszy je na kołdrze, zanurzał ręce w złocie, słuchał muzyki dźwięków, które wydawały. Gdy przecieży umarł wkrótce, nie był wcale bogatszym od żebraka, który w tej chwili skończył gdzieś może życie nędzy i braku, bo nie unosi się ze sobą z ziemi nic z tego, czego duch zabrać nie może.

Zabiera on przecieży wiele, tylko z innych zapasów: człowiek umierający czuje to i odgaduje prawdę tak, jak nie był zdolnym widzieć ją za życia. Wtedy słoniły mu ją namiętności, a teraz występuje przed nim naga. Karol IX, umierając, miał wciąż przed oczyma ducha krwawe obrazy Nocy Ś-go Bartłomieja i wyznał to przed lekarzem swoim, Ambrozym Paré: — „Nie wiem, co to jest, — rzekł, — ale od kilku dni muszę mieć szczególnego rodzaju gorączkę. Umysł jest tak zaniepokojony, jak ciało i czy śpię, czy czuwam, straszne widziadła pomordowanych ciał ludzkich, zakrwawionych trupów, wstrętnych dla wzroku, ścigają mnie...“ Umierał w dwa lata po Rzezi Hugonotów, a jednak obrazy ich mordy przeszły do niego w godzinę śmierci.

Są to rzeczy straszniejsze niżeli sama śmierć, bo, jak już wiemy: są w życiu rzeczy od śmierci mocniejsze. Śmierć równa wszystkim i wszystkim, ale tylko w znaczeniu jednym: panują nad nią sprawy i siły ducha. Uczucie spełnionego obo-

wiązku czyni śmierć spokojną i cichą; wyrzuty sumienia, myśl o hańbie i upodleniu, zatrąwa chwile ostatnie i wstrząsa duchem, który ma odejść. Sir Henryk Vane, skazany na karę miecza przez partycję zwyciężką, zawołał przed exekucją swą na Tower-Hill: — „Dzięki Ci Boże, że nie odstąpiłem dobrej sprawy, dla której cierpię!“ Gdy sir Walter Raleigh kładł głowę na pniu śmierci, kat mu rzekł, aby zwrócił ją ku wschodowi, na co on przecieży odparł: — „Wszystko jedno, na którą stronę spadnie głowa moja, byle serce było po prawej“.

Sir John Moore, tensam którego pogrzeb upamiętnionym został w literaturze angielskiej przez bardzo piękny wiersz Karola Wolfe, padł śmiertelnie ranny na polach Korunii; nie chciał przecieży przyjąć posługi lekarskiej, bo czuł, że jest daremną dla tego, który ma umrzeć, a może się przydać żołnierzom, którzy z większą nadzieją życia zalegają szranki krwawe.

Walter Scott rzekł przed skonaniem do swego zięcia Lockharta: — „Kochany mój, bądź uczciwym człowiekiem: bądź cnotliwym, bądź religijnym — bądź uczciwym. Nic nad to nie podeprze cię, gdy legniesz tak, ja teraz, na łożu śmierci. Kant żył długo; dosięgnął osmdziesięciu lat życia, nie tracąc władz i potęgi umysłu do końca. Gdy w czasie ostatniej choroby czuł zbliżający się zgon, mówił do otaczających: — „Nie lękam się śmierci, ponieważ wiem, jak się umiera. Zapewniam was, że gdybym wiedział na pewne, iż ta noc będzie ostatnia, wzniosłbym ręce w górę i rzekłbym: — Dzięki ci Boże! Ale byłoby nie tak, gdybym był stał się kiedykolwiek sprawcą cierpienia, lub nędzy kogoś z bliźnich moich“. Kant miał głęboką wiarę w błogosławioną przyszłość duchów i rzekł raz: „Odbierzcie człowiekowi nadzieję i sen, a uczynicie go najniebezpieczniejszą istotą na ziemi. Czuje się wtedy, że brzemień życia jest cięższem, niż słaba natura nasza znieść może, i podtrzymuje nas jedynie w utrudzającym wspinaniu się naszym na wyżynę życia wielką tą nadzieją, że zestąpimy z niej kiedyś na Ziemię Obiecana“.

Jedną i jedyną tylko drogą przychodzimy na świat, ale jest tysiąc dróg zejścia. Bóg, dając nam istność, powierza ręką naszym klucze życia. Otwiera się przed nami pole pracy, miłości, obowiązku. Gdybyśmy patrzyli stale w przeszłość, pracowalibyśmy odważnie i uczciwie z dnia na dzień, nie tracąc nigdy chwil czasu na próżno. Odpocznijemy w grobie. *Hic jacet* jest powszechnym epitetem ludzkości i przyjdzie na każdego ostatnia chwila, ostatni czyn, słowo ostatnie. Słowacki powiada, że ostatnie życzenie umierającego jest sądem nań, albowiem akt to ostatni woli jego ducha, uczyniony w zakresie tego czasu — cząstki wieczności — która została daną człowiekowi do działania. Smiles zakończył swoją piękną, wysoce szlachetną, wysoce pożyteczną książkę strofą, która daje się streścić w tych słowach:

Wierzę w to mocno i niezachwianie,
Że z prochu ziemi wskrzesisz mnie, Panie!
Z grobu ciemności dasz Zmartwychwstanie...

Streszczając to dzieło, obejmujące w oryginale 423 stronnic, usiłowałam oddać kolejną, przez autora przyjętą, każdą myśl jego i sądzę, że nic z moralnej treści książki uronionem, nie pominętem nie zostało. Usunęłam tylko nieco przykładów, albo ogólnie znanych, albo przez wyłączenie swą angielską mniej czytelnika polskiego obchodzić mogących. Ale wszystkie ziarna tej mądrości prostej a głębokiej, która czyni ze Smiles'a uznanego przez świat cały moralistę i mędrca-myśliciela, przeniesione zostały wiernie z kart jego książki w łamy „Bluszcza“.

Marya Ilnicka.

PRZEKŁĘTY DWOREK

NOWEJ LA

napisał

Bolesławicz.

(Dokończenie).

Przed karczmą stał człowiek w słomianym kapeluszu. Krótką fajeczkę trzymał w ustach i zdawał się z niecierpliwością oczekiwać kogoś.

Ubrany był ubogo i nieporządnie, rubinowy kolor twarzy dawał wymowne świadectwo, że jest to lubownik kieliszka i szklanki.

Stał zwrócony twarzą do dworka i mrucał pod nosem.

Nagle uwagę swą podwoił, ujrzał bowiem Kazimierza, który biegł wzruszony. Tkwił w nim postrzał okrutny: serce było w nim przebite i krwa- wiło się.

Nieznamy ujrawszy go, postąpił kilka kroków naprzód.

— Dobry wieczór! — rzekł.

Kazimierz spojrział — lecz poznawszy go, zgrzytnął zębami i jęknął półgłosem.

— Przepadnij, piekielny proroku!

Odwrocił głowę i pośpieszył dalej.

Nieznamy uśmiechnął się z politowaniem. Nie zatrzymywał go wcale. Stał chwilę, patrząc się za nim, potem machnął ręką i rzekł, zwracając się do karczmy: — Są miejsca przekłete, są przekłeci ludzie. Fatum było zawsze i jest.

VII.

Wiemy już, że pan Fortunat postanowił sobie nie mówić Maryni, tylko działać tak, aby silne wrażenie jakimkolwiek sposobem zatrzeć w jej sercu. I wśród tych dumań odezwał się głos Władysława Rochowskiego, który jak wiemy mieszkał z rodziną w domu pana Fortunata.

Każdy się domyśli, że nie śpiew rozjaśnił twarz starca, ale raczej myśl, wywołana przezeń, a ponieważ myśl ta według niego była najstosowniejszą, postanowił tedy iść za nią.

Niewzlekając długo, wziął się do rzeczy.

Rochowscy przypadli mu do serca. Byli to ludzie prawi, bogobojni; wychowywali dzieci — to jest syna i córkę, — na uczciwych ludzi, a miłość i zgoda, jako dwa klejnoty, jaśniały u nich na pierwszym miejscu.

Po pierwszej wizycie, nastąpiła druga i trzecia, a w końcu wywiązała się tak serdeczna przyjaźń, że dwie te rodziny żyć bez siebie nie mogły.

Szczególniej pokochały się dziewczęta: Emilia Rochowska i Marynia.

Kazimierz, zajęty Walentyną, przyczyniał się najmniej do owej przyjaźni; nie patrzył na to, co się wokoło niego działo, bo miał zajęcie jedno, najwyższe, pochłaniające całą jego istotę.

Wyznanie, które zrobił w końcu, stało się powodem, że pan Fortunat począł goręcej i częściej zapraszać Rochowskich, a szczególnie Władysława, do siebie. Walentyna jeszcze nie była wyjechała; czekała na przyjazd ojca z Paryża, aby wraz z nim opuścić miejsce nieszczęścia. Kazimierz, jak szalony, zapędzał się kilka razy do dworka, lecz po namyśle zwykle powracał smutny do domu.

Mimo postanowień codziennych czynionych, codziennie łamał: nie mógł się oprzeć pokusie, aby nie pobięgnąć do dworku, i choćby zdaleka nie popatrzyć się na ogródek.

Wejść tam, choćby na brzeg tylko, pod cień drzew pierwszych, zdawało mu się czemś, równającym się szczęściu; nie chciał być widzianym; wyczekiwał więc nocy ciemnej i słotnej.

Aż nadeszła raz, okrywając ziemię ciemnością. Po niebie kłębiły się bałwany chmur czarnych. Wiatr głucho jęczał, zapowiadając burzę. Na

wieży ratuszowej uderzyła godzina jedenasta. Wybiegł więc Kazimierz na drogę dobrze mu znaną i śpiesznie dążył do swego celu. Lecz przykrem było bardzo uczucie sprawiane przez sam widok tych miejsc. Ujrawszy ogródek, przystanął, oparł się o wysokie drzewo, które stało przy drodze, zakrył twarz rękami i płakał, jak smutne dziecko. Zdawało mu się, że jest na cmentarzu i płacze tam straconej nazawsze Walentyny.

Dworek, jasno oświetlony, ukazywał się między drzewami, świeciły się okna salonu; podszedłszy bliżej można było widzieć, co się dzieje wewnątrz, i Kazimierz nie zdołał się oprzeć pokusie. Posunął się najpierw krok tylko, potem mimowoli zrobił drugi i wkrótce musiał już zatłumić wykrzyk szczęścia, który wyrwał mu się z piersi.

Zobaczył Walentynę: cała w żalobie, siedziała pochylona nad książką, ale za każdym mocniejszym powiewem wiatru, gdy zaszumiały drzewa ogródka, podnosiła oczy i wracała je w dal ciemną, jakgdyby przeczuwała tam kogoś, jakgdyby czekała kogoś od tamtej strony.

Jej twarz blada, jej opuszczona nad książką głowa, tyle mówiły o cierpieniu przebytem, że nietylko człowiek, który ją kochał, lecz nawet nieprzyjaciel uczułby litość.

Grube krople deszczu zaczęły spadać na liście z szelestem, i w Kazimierzu powstała nagle nowa myśl, nowe, nieprzemyślane pragnienie.

— Pójdę tam, — zawołał w sobie, — pójdę, rzucę się jej do nóg, i będę błagał litości.

W tej chwili głucho zagrzmiało.

Walentyna powstała i zbliżyła się do okna.

Kazimierz stał nieruchomy na miejscu. Jeszcze nie miał odwagi, jeszcze wahał się.

Powtórna błyskawica opromieniła cały ogródek. Walentyna spostrzegła Kazimierza i zadrżała nerwowo. Twarz rozjaśniła się nagłą radością i wyrazem miłości, pierś się wzniosła pod napływem uczu- ci, któremi przepełniło się serce. Zdawało się, że pragnie wybiec do Kazimierza, lecz równie jak on straciła nagle siłę do wykonania zamiaru. Oprzytomniała, wróciło jej stracone uczucie rzeczywistości i wtedy było już po wszystkim. Choć jeszcze zdawała się walczyć ze sobą, pasować się z sercem, ale już była to walka, w której on przegrać musiał.

Walentyna po chwili zakryła twarz rękami i wyszła do drugiego pokoju.

Niedługo zagasły światła, ciemność zaległa dworek — tylko wicher, błyskawice i grzmoty zostały!

Burza szalała gwałtownie: były pioruny, oświetlając promienistymi wstęgami drogę zalaną potokami deszczu; ale w porównaniu z tą burzą, która odbywała się w piersi Kazimierza, były to tylko igrające szmery natury.

Przyszedł do domu zmęczony i przemokły. W głowie mu szumiało; w piersiach czuł ogień, który mu palił wnętrzności.

Nigdy pewnie wśród ścian tego cichego pokoju nie rozgrywał się taki dramat zranionego serca. Kazimierz cierpiał tak, jak nigdy dotąd. Był już tak blisko i znalazł się tak daleko, tak daleko od ukochanej! Przyszłość cała zdawała mu jedną ciemnością — była niczem...

Po długich rozmyślaniach rzucił się na łóżko zupełnie bezsilny.

I otoczyły go jakieś karykaturalne postaci z wykrzywionymi twarzami; chychocząc, ciekawie zaglądały mu w oczy, a ciekawość ich zdawała się wzmacniać coraz bardziej; rozpychały się, włożyły sobie na głowy, i szamotały się wzajem, aby być bliżej niego. Tych nieproszonych gości namnożyła się wkrótce ilość taka, że cały pokój był niemi przepełniony, przewracały kozły, tarzały się po piersiach Kazimierza, biegały po ścianach, wchodziły, wychodziły, niszcząc wszystko, co tylko stawało im na przeszkodzie. Aż wreszcie, nie mogąc objąć tego tłumu, cały pokój zaczął się kołysać, jak balon w powietrzu — pochylił się i runął w przepaść. Wtedy widma rozbiegły się, pierzchnęły i tylko ciemność zaległa wokoło.

Kiedy otworzył oczy, ujrzał przy sobie Marynię, a opodal głęboko zadumanego pana Fortunata.

Rolety zapuszczone wzbrajały wejść światłu, przez co pokój wyglądał pociemniałym i smutno. Na małym stolczku stały rozmaite flaszczyki, pudełeczka z proszkami, a dla niego, który patrzył na to z wyteżeniem, wszystko to było zagadką, której nie mógł rozwiązać.

Jakis jegomość o surowem obliczu wszedł cicho do pokoju, skinął obecnym głową na znak powitania, przybliżył się do Kazimierza, wziął go za rękę i rzekł:

— No, niebezpieczeństwo minęło — prawdopodobnie.

Marynia zażawione oczy wzniosła ku niebu. Poruszenie jej ust przekonywało, że szeptała gorącą modlitwę.

Odtąd, jak anioł opiekuńczy, czuwała nad Kazimierzem. Był dla niej teraz tem droższym, że potrzebował jej opieki.

Cieszyła się nadzieją i pokrzepiała modlitwą.

Ale stan chorego nie polepszał się tyle, ile było potrzeba, aby choroba mogła się nazwać przesiloną, i doktor znowu stracił nadzieję.

Widmo śmierci błąkało się nad domem pana Fortunata; oczekiwało tylko wyznaczonej chwili, aby wejść i przeciąć nić życia, tak już słabego jak technienie ust dziecięcych.

I godzina wybiła; straszliwe widmo weszło i uniosło ze sobą duszę Kazimierza!

Ani płacz, ani modlitwy Maryni nie mogły zatrzymać ręki przeznaczenia i nie uratowały życia ukochanemu. Biedne dziewczę spotkało się poraz pierwszy z okrutną rzeczywistością; zimny trup leżał przed nią i nie mógł już odpowiedzieć na najśłodsze jej wołanie.

Tyle uludnych obrazów, tyle myśli rozkosznych, tyle nadziei: wszystko zapadało wraz z Kazimierzem w mogiłę.

Cios był silny. Uśmiech zniknął z ustek koralowych, które pobladły, i serce odrazu dojrzało pod działaniem boleści: przestała być dzieckiem, stała się kobietą.

Pan Fortunat uląkł się o jej zdrowie, ale tylko powoli mógł ją pocieszać, tylko delikatnie, łagodnie.

— Moje drogie dziecko, cóż my zrobimy w życiu z tym smutkiem naszym? — mówił. — To, co się stało, odstać się nie może. Więc, choćbyś oczy wyplakała, bieg rzeczy nie zmieni się przez to. Prawda, że to niełatwo wyrugować żal z serca; ale no... nie powinnaś się też mu poddawać. Bierz przykład ze mnie. Ja, stary, zamiast rozpaczować, modlę się tylko za spokój jego duszy. Modlitwa, moje dziecko, dojdzie go może tam, gdzie jest teraz, i zawiąże się między wami węzeł święty. Weź w opiekę jego mogiłę, ustrój ją kwiatami: a Bóg dobry zesze ci moc do przetrwania tego ciosu.

Dziewczę słuchało pokornie; lzy w milczeniu spływały jej po twarzy; potem objęła rękami szyję dziadunia i przez chwilę szlochała na jego piersiach. Ale słowa utkwily w myśli, która nigdy nie filozofowała; zadzierzgnął się — jak powiedział pan Fortunat — węzeł święty między nią a Kazimierzem, modliła się, chodziła na grób, i zdawało się biednej, że on to widzi z błękitów, że spogląda ku niej i posyła jej słodki uśmiech miłości zaziemskiej. Rodzina sąsiadów przyczyniła się też wiele, aby smutek jej łagodniał i tracił gorycz ostrą. Otaczano ją ciągle, usiłowano rozrywać i rozrywano rzeczywistość. Przytem była tak młoda, a młodość ma prawa swoje; ma i siły niewyczerpane; po pewnym czasie twarz pokraśniała dawnym rumieńcem, oczy nie tak często się łzawiły, bo miała tylu życzliwych, tylu dobrych wokoło siebie: miała przyjaciółkę i jej starania, jej otoczenie rodzinne.

Walentyna wyjechała do Warszawy podczas choroby Kazimierza. Świat, który dawniej miał dla niej tyle uroku, dziś stał się nieznośnym. Odsunęła się od ludzi, nikogo nie przyjmowała i pędziła życie samotne.

O Kazimierzu nie miała żadnej wiadomości.

Marya Gentili Montalti.

(Dokończenie)

Czas biegł; upłynęło kilka miesięcy; jesień przewiewała tchnieniem ostrem, zrywając pożółkłe liście, roznosząc szczytki zwiedłych kwiatów. Tłumy ludu ciągnęły ku Cmentarzowi Łyczakowskiemu; niesiono wieńce, latarnie i dziwaczne transparenta, aby ustroić niemi groby.

Był to dzień zaduszny.

Lwowianie dzień ten, poważnie smętny, przestoczyli na dzień wesoły. Zrobili z cmentarza ogród spacerowy, z uroczystości religijnej festyn i iluminacją. Zbytek światła, wesołe twarze i gwarna rozmowa, napływającego ciągle mnóstwa ludu, każą zapominać, że są tu dokoła groby. Tylko obogie mogiły, na których błyszczą się małe światełko, przypominają, że jesteście w świecie umarłych.

A takich mogił jest dużo na Łyczakowskim Cmentarzu!

Po lewej stronie od wejścia podnosi się na wzgórkę duża mogiła, oświetlona jedną lampą na krzyżu, a mająca kształt sarkofagu o płaskiej powierzchni, i o czterech ścianach z darniny. Obok niej leży wielka płyta marmurowa, zapewne przeznaczona na nagrobek, którego dotąd nie zdążono jeszcze wykonać; w jego miejscu stoi tymczasem krzyż kamienny, gładki i prosty, z którego rozchodzi się światło na mogiłę.

Obok niej kłęczy modląca się kobieta. Nie patrzy na snujące się tłumy, nie słyszy ich gwaru, bo wzrok jej spoczywa na krzyżu, a dusza zatopiona jest w modlitwie.

To Walentyna. Ślady smutku wryły się głęboko na pięknej twarzy, oczy, te promieniste oczy... zasłoniła mglista powłoka, świadcząca o częstych łzach i o niepokoju serdecznym. Nie jest to już owca dawna, czarująca kobieta, ale istota złamana cierpieniem, z piętnem nieszczęścia na czole.

U stóp tego wzgórza, nieco bliżej wejścia, widzimy także postaci znajome: p. Fortunat, Marynia i Władysław są razem obok grobowca, na którym wykonczony już kamień pamiątkowy opowiada przechodniom, kto jest mieszkańcem tego domu śmierci. Otaczają go kwiaty, wśród których płonie jarzące światło, a czy dlatego, że miejsce jest tu więcej otwarte, czy może sprawiają to kwiaty, ale tu nie jest posępnie jak na tamtej mogile. Żal nie przedstawia się tutaj tak okrutnie, jest to raczej smutek cichy, a nie boleść, która nie może mieć pociechy, bo jest tak głęboką jak przepaść pochłaniająca życie. I tu również modlą się widocznie ludzie, dla których to miejsce nie jest widokiem szarpającego przypomnienia: kwiaty dowodzą, że bywają tu często i nauczyli się też modlić spokojnie, zżyli się ze smutkiem swoim.

Gdy Walentyna powstała z posępnej mogiły męża, wzrok jej padł na kłęzącą Marynię i jednocześnie na napis grobowy. Przeczytała nazwisko i imię, zapuściła welon wdowi, opuściła cmentarz, aby powrócić nazajutrz i modlić się już na obu mogiłach.

Dla uniknięcia przeciwnieństw, aby po obrazie cmentarnym nie malować czytelników godów weselnych, powiemy tylko krótko, że Marynia wyszła za męża, za Władysława; że jest szczęśliwa, kochająca i kochana.

Walentyna, oddalona od ludzi, żyje samotnie, i corok w dzień zaduszny modli się na dwóch mogiłach.

Dworek stoi dziś opuszczony, w ogródku nie rosną już róże, altanka odrapana, w oranżeryi jest skład połamanych mebli. Stało się tu pustkowiem, niczem nie dające poznać, że kiedyś jaśniało tu życie i serca były gorąco.

I tylko często można tam widzieć człowieka w słomianym kapeluszu dumającego pod rozłożystym drzewem, które szumem swych liści kołysze jego marzenie. Ztamtąd idzie zwykle do karczmy i filozofuje o ludziach, którzy według niego niczem się nie różnią od nędznych komarów.

W tej chwili uderzono w bębny przed kościołem. To coś jest?—zawołały teraz głosy niespokojne. Czyżby wymarsz?

Można to było przypuścić, bo wojsko ściętnym tłumem wychodziło z kościoła i szykując się na placu, zajmowało go. Deszcz przestał teraz padać; słychać było rozlegające się głosy kolumny, liczne pochodnie rozświetlały plac i wyglądający ostrożnie z okien widzieli, jak wkrótce jeden oddział wojska, z officerami na czele, wyruszył naprawo w dół doliny; drugi udał się nalewo ku góróm. Lecz trzeci oddział obrócił się nagle frontem do Casa Saliceti, a tu dowodził sam margrabia d'Arcambal.

— Otwórzcie—wołał—otwórzcie i poddajcie się, bo każę strzelać z dział i zburzę wszystko dokoła. Jeżeli się poddacie bez oporu, nie będzie rabunku, przebaczę dzieciom i kobietom.

Nastąpiła więc zdrada i Francuzi wiedzieli wszystko! Goniec, który tak pędził przed chwilą, przynosił im wiadomość o tem.

Postanowienie zostało powziętem w mgnięniu oka. Nie otworzą drzwi i nie poddadzą się, lecz spuszcza się w lochy, lochami dostaną się do kościoła i ztamtąd zrobią tak rozpaczliwą wycieczkę, jak niegdyś Carlo Saliceti z murów rozpadającej się twierdzy. Rozpadały się również, choć w sposób inny, ściany ich uchrony, gdy przecież uderzą na wrogów z tyłu i niespodzianie, zdołają — korzystając z pierwszego popłochu — przetrznąć się ich środkiem i dopaść ogrodów. Tamtędy dostaną się już łatwo do Col di Tenda, gdzie było zbawienie—było życie i wolność.

— Otwórzcie! wzywał powtórnie d'Arcambal, lecz wtedy gromadka zbrojnych już była w sieni, wiodącej do piwnic. Ksiądz, mający przy sobie klucze, otwierał drzwi mocno zaryglowane, gdy naraz usłyszał poza niemi jakiś ruch podejrzanym i szczęknęciem stali. Francuzi byli i tam.... otoczono. obsaczono ich zatem ze wszech stron!

Zostawało tylko: umrzeć lub przebić się inną stroną. Rzucono się więc z powrotem na front domu i ztamtąd wypadnięto na Francuzów z rozpaczliwym mężstwem tych, którzy nie mają już nadziei żadnego ratunku prócz łaski losu. I kobiety były w tym zastępie zrozpaczonych. Kronika wspomina oprócz Romany Saliceti i drugą, już podeszłą w lata: mamkę Karola Saliceti Orsolę, która należała do wycieczki i ocalała. Francuzi, przypuściwszy mądrze na zasadzie znajomości nieprzyjaciela, że obleżeni nie poddadzą się i niewątpliwie rzucą się w podziemia, spodziewali się walki tam, i szturm do drzwi frontowych był tylko formą a może podstępem strategicznym. Więc też gwałtowna wycieczka przez wyjście główne, zaskoczyła ich do pewnego stopnia niespodziewanie, a w takich chwilach jedna minuta rozstrzyga nieraz o losach walki. Tę minutę miał za sobą oddział przerynający się i zdołał też cudownie przebić się zaraz w bok placu, ująć w ogrody, gdzie już strzelano tylko za niemi, lecz noc czyniła strzały nieszkodliwymi. Bernardo Leccia został raniony i pochwycony zaraz z brzoza, bo znajdował się na przedzie; padło podobnie kilkunastu innych i zmniejszoną garstką dopadnięto podgórzem, gdzie przecież spotkano znów Francuzów, już o świcie. Ale po tamtej stronie gór widziano, jak wyroczną miała być dla Oletty ta noc i zaciężna kompania Niemców stała ukryta w wąwozie na wszelki przypadek. Na odgłos walki wystąpiła i podała uciekającym rękę pomocy, która ich uratowała.

Dla reszty mieszkańców Oletty dzień, który wszedł na pogodnie już niebios, był dniem sądu i kary. Przed wschodem słońca, generał Grandmaison nadciągnął z Fiorenzo z dwoma batalionami piechoty i oddziałem konnicy i natychmiast po-

jedynące oddziały/zatarassowały wszelkie możliwe przejścia. Z drugiej strony plondrowano dom za domem, zabierając wszystkich mężczyzn, których uprowadzono pod strażą do kościoła. Podestę Montalti wraz z wszystkimi gminnymi wsadzono do więzienia, znajdującego się pod odwachem i nim nadeszło południe, sąd wojenny rozpoczął działania swoje, pod prezydencją generała de Grandmaison. Szło bardzo szybko, bo przydujący wiedział naprzód wszystko, czego potrzebował. Gdy wczoraj rano odebrał rapport pułkownika d'Arcambal, postarał się o dokładne wiadomości z miejsca, gdzie je czerpać było najlepiej i potem nie już nie stanęło mu na przeszkodzie, aby być panem wypadków—nic, nawet to, co nazywamy losem. Przysłowie mówi, że bohater ginie dla gwoździa wypadłego z podkowy jego rumaka, a tu bohaterowie ginęli dlatego, że żaden gwóźdź nie wypadł z podkowy konia, który niósł zdraycę, z podkowy gońca generalskiego, który tak pędził, że mógł sto razy paść i wyzionąć życie. Tu niczego nie zabrakło, nawet szczęścia, które usuwa z drogi przypadki, a tam nie stało ludziom pół godziny czasu—pół godziny tylko! tylko trzydziestu minut!...

Sąd wojenny w przeciągu dwóch godzin skazał na śmierć czternastu ludzi, ale generał Grandmaison użył przysługującego sobie prawa łaski i siedmiu darował życie, ulaskawionych skazano na galery w Marsylii na galery, a kat łamał natychmiast kołem siedmiu skazanych. Był między nimi Bernardo Leccia, narzeczony Maryi Montalti. Ojca jej, podestę, wysłano do Bastia, aby sam wódz naczelny wyrokował o jego losie, Bernardo zaś nie żył już, zanim słońce zaszło za wieże kościoła Oletty, przed którym na marach, plecionych z gałązek figowych, umieszczono trupy pod paszczami dział nabitych. Nie wolno ich było tknąć ztamtąd pod karą śmierci; orły i sępy z gór, lub dzikie koty z jałowcowych zarośli, miały je obrać z ciała i wtedy dopiero kościotrupy miały zostać uprzątnięte. Były to czasy srogie.

Krwawą noc zapowiedziała burza i jej pioruny, lecz po dniu krwawym jeszcze słońce zeszło z niebios już bez chmurki i najpiękniejsza noc wiosenna; wonna, miesięczna noc rozpostarła się nad Korsyką. Czy przecież w Olecie przyniosła ona komu sen i spoczynek, czy zamknęły się czyje oczy—oczy, które wylały strugi palących, słonych łez! A może nawet nie płakano tam wcale! Kiedy pękają serca, lzy nie płyną; lecz kronika milczy o tem: milczy, czy Marya Montalti płakać mogła, czy płakała? Ze dworu jej, najpiękniejszego, najobszerniejszego, najludniejszego po dworze Salicetich, rozbiegła się teraz cała służba. Boleść i trwoga rozpędza ludzi, a przytem było tu tak blisko miejsca, gdzie na marach leżało ciało tego, co przychodził tu wieczorem każdym, w taką noc miesięczną śpiewał tu i przygrywał na mandolinie, patrząc w czarne oczy kochanki. Ludziom rwały się serca od tych wspomnień, ludzie bali się bladego widma, skrwawionego upióra, i rozbiegli się wszyscy. Marya Montalti została sama w pustce. Choć światem przewiewało to tchnienie ciepłe, pod którym rozwijały się kwiaty cytryn i kasztanów, w kamiennej casa było zimno: ognisko zagasło, czerwone wężyki ognia chodziły tylko po opalonym pniu oliwnym, ale nie zabłysnął żaden płomyk jasny; ona przecież siedziała u ogniska jak za tych czasów dawnych, gdy tu czekała na ojca i kochankę. Teraz nikt nie miał przyjść; jej było zimno, i owinięta w falde, siedziała. Inne dziewice jej stanu przebrały się w suknie zamorskiej mody, lecz ona nie porzuciła nigdy ojczyznostraju i było jej w tej chwili z tem dobrze: miała coś, co ją ogrzać mogło, coś, w co mogła się owinać.

O czem myślała, siedząc w ciemności? O niczem... Myśli jej spletały się jak nici stargane i beznamiętnie patrzyła w ciemność. Księżyc, który dziś świecił w pełni, wzbijał się tymczasem na niebiosy i stanął wprost jej okien. Na Korsyce, w najzamożniejszych nawet domach, nie bywało wtedy jeszcze szkła we wszystkich oknach; w campanach wieśniaków nieznano go wcale, wazkie otwo-ry w murze stały puste, jak strzelnice, i w obszernej świetlicy, w której siedziała teraz Marya, tak też było. Powietrze i światło wpływało swobodnie

do jej wnętrza i długie smugi jasne padały na ciemno czerwoną, jakby zakrwawioną, posadzkę kamienną, ale ona nie widziała tego, tylko nagle zdawało jej się, że słyszy głos cichego wołania: — Maryo!...

Drgnęła, ale nie ruszyła się z miejsca, bo była skostniała. — Maryo, — powtórzyło wołanie, jak gdyby dochodzące przez okno. — Maryo!...

— Maryo! kochanko moja! — powtórzyło się raz trzeci, a ona poznała teraz głos i zerwała się.

— To ty? — zapytała, — ty, Bernardo?...

— Tak, to ja. Wołam cię, bo ptaćtwo nocne krąży nademną i kraka. Spadną na mnie niedługie i będą mnie szarpać dziobami. Nietoperze wplączą mi się we włosy, już kołują tak nisko, nisko, łopocą skrzydłami...

— Nie mogę iść, — jęknęła Marya. — Mam nogi jak poprzetracane; nie mogę iść i spłoszyć ich...

— Ach, Maryo! — ożwało się za oknem, — ja żądam pogrzebu chrześcijańskiego, spoczynku w grobie rodowym. Choćbyś spłoszyła jednego kruką, to przyleci drugi — i orły przylecą i sępy, i puszczyki. Chodź, Maryo, i pochowaj mnie.

— Nie mogę, ukochany, nie mogę! — wołała dziewczyna z rozpaczą. — Słaba jestem i sama. Kto mi pomoże, abym cię pochowała, kto?

— Chodź i pochowaj mnie! — wołało uparcie za oknem. — Dusza moja nie będzie miała póty spoczynku, póki nie dostanie go ciało... Wszak ty to wiesz, wszak wiedzą to wszyscy ludzie... Spytaj ich a powiedzą ci: dusza moja nie będzie miała spoczynku... — A tak zmęczony jestem okrutnie, oh! jak okrutnie, jak okrutnie zmęczony!... — jęczało za oknem.

Ona, nieszczęśliwa, zatykała uszy, ale słyszała wciąż: — Maryo! Maryo, kochanko moja, chodź...

— Zostanę potępieniem! — zawołało naraz żałośnie. — Ciało moje zostanie roznieśione po górach i wąwozach, a ja, nieszczęśliwa, będę spuszczonej po to tylko z łańcuchów piekielnych, aby go szukać i nie znaleźć nigdy. Będę gorzał wiecznie w płomieniach zatracenia, będę wiecznie palony ogniami duchów nieczystych, bo nie położyli zwłok moich pod znakiem zbawienia, pod krzyżem Chrystusowym!

— Idę, Bernardo! idę... — zawołała teraz Marya i nie ociągała się więcej. Miała na sobie faldetę i nie potrzebowała wybierać się inaczej. Zarzuciła tylko na głowę kaptur jej kapuzy i szła prędko, prędko, a nogi już się nie ugiwały pod nią. Ale księżyc świecił bardzo jasno, wzbity już teraz na sam srodek nieba, a warta francuzka pilnowała trupów: cóż więc poźnie nieszczęśliwa? Jest czarna jak sam cień nocy, i warkocze jej nawet, które teraz płyną po faldecie nieczesane od wczoraj, są czarne także, ale łuna księżycowa uczyniła powietrze srebrnym i dostrzega ją, właśnie dla tego.

Grenadyer francuzki, którego postawiono tu na straży, był młodym rekrutem z Normandyi. Jeszcze się nie oswoił z widokiem krwi i trupów, jeszczeby nie mógł spać na pobojowisku, czyniąc sobie poduszkę z ciał zastygłych, i teraz robiło mu się straszno na sereu. Gdyby było ciemno, łatwiej by mu było to zniesić, ale księżyc świecił i jego oblewał zawsze pot zimny, gdy spojrzal i zobaczył — siedmiu trupów! Nietoperze latały stadami, sowy i puszczyki krzyczały na wieży kościoła, który stał teraz pusty. Francuzi opuścili to miejsce złej wróżby, zajęli casę Salicetich i inne budynki paesy; biedny żołnierz czuł się też straszliwie samotnym na swoim okropnym posterunku.

Zbiedz z niego: znaczyło zostać rozstrzelanym, ale gdy księżyc, padając prostopadle oświecił tem wyraźniej mary z siedmiu ciałami, które leżały jak pnie okrwawione, on odwrócił się od nich plecami i zaczął chodzić po drugiej stronie ścian kościoła. Drżał na każdy szelest i mówił pacierz.

Marya widziała go, jak się cofał i uchodził. Czy byłaby zatrzymała się, gdyby nawet nie był uczynił tego? nie wiedziała zapewne sama. Szła prosto i prędko, ale bardzo łagodnie i lęklawie pochylała się nad marami:

— Jestem, Bernardo, — szepnęła. — Przyszłam tu, ale się boję ruszyć cię — aby nie urazić...

Nie odpowiedział jej nie, i ona poczęła obejmo-

wać go ostrożnie. — Czy cię nie boli najdroższy? — pytała i wzięła nakoniec na ręce, jak matka dziecko duże, które zasłabłoby jej w drodze i ona musi go nieść. Poradziła: była słuszna i silna jak wiele góralek korsykańskich, a on przeciwnie: drobny i niewysoki. Cały ród Leccia, jak ród Bonaparte, był taki: ogniści i nerwowie nie rozwijali się w ciało i nie byli roslymi. Zato muskuły mieli jak ze stali i wytrzymywali trudy, któreby powaliły olbrzyma. Teraz przecież Bernardo był ciężarem lekkim dla kochającej; poniosła go do kruchty kościelnej i tam odetchnęła, opierając się o ścianę. Boczne drzwi były uchylone i przeciąg wiatru poruszał tak niemi, jakgdyby kto je otwierał dla niej. — Idę — ożwała się Marya do niewidzialnego zakrystyana i rozmykając jednem ramieniem drzwiczki, weszła. Zapomniała się przeciw skłonić ołtarzowi, bo też i lampa żadna nie paliła się przed nim. Tylko księżyc świecił przez wielkie kolorowe okna i Marya zwróciła się prosto do kaplicy, w której był grób rodziny Leccia. Kaplic takich ciągnął się rząd długi po każdej stronie nawy kościelnej, ale ona nie zabłądziła. Weszła i siadła na stopnia ołtarza, nie składając swego ciężaru. — Zaraz cię położę, serce moje, — rzekła tklawie do trupa, — zaraz, niech tylko spoczne odrobine.

— I po żegnamy się — dodała po chwili. Tu już nie przyjdą zanami Francuzi i możemy to uczynić.

Poprawiła go sobie leżącego teraz jej na kolanach i ugiadziła mu włosy; patrzyła mu w twarz z litością, jakgdyby to był ktoś śpiący a chory, który cierpiał długo i cierpienia te zostawiły ślad na nim. Ale coś zaszleściło, skrzypnęły drzwiczki, zapewne znów przez wiatr poruszone, i ona zesunęła się delikatnie ze stopni, delikatnie położyła na nich zwłoki. Duża płyta kamienna, leżąca przed ołtarzem, zamykała grobowiec, ona ujęła kółko spiżowe, stanowiące antabę i dźwignęła kamień, aby utworzyć pieczęć, co przecież szło jej ciężko i nie mogła podolać odrazu. Ale podolała nakoniec i powróciła do ciała, z którym przecież musiała teraz poczynać sobie inaczej. Faldetta Korsykanki, to prosta sztuka mocnej, wełnianej tkaniny, zebranej górą w fałdy, i łatwo było zrobić z niej całun. Zdjęła ją więc i, oderwawszy górną opaskę z kapuzy, miała czego jej było potrzeba. Ukłękła, przyłożyła usta do martwych, zimnych ust trupa i ucałowała je. Dziewice ser korsykańskich są obyczajów bardzo czystych i surowych, był też to pierwszy pocałunek dany narzeczonemu przez narzeczoną. Dopiero, odchodząc od ołtarza, oblubienie całuje oblubienicę i ona tak zrobiła teraz. — Do widzenia, Bernardo! — szepnęła, jakgdyby się mieli spotkać za chwilę i, uwiązawszy go starannie i kilkakrotnie w szmat czarny, poniosła nad brzeg grobu, aby spuszczać go w głąb' powoli, rozwijając stopniowo sukno. Ciało nie spadło też gwałtownie, ale osunęło się na trumnę, która stała na srodku; a że to była trumna zmarłej przed kilku laty matki Bernarda, było to jakgdyby oddanie go innemu objęciu kochającej. Puściła też wtedy trzymane końce całunu i opuściła wieko kamienne cicho, cichutko, nie dlatego przecież, aby się bała sprowadzić Francuzów — nie zgola. Jej było żal stuknąć niemilosierne nad biedną zbolalą głową Bernarda.

Została teraz w krótkiej czerwonej spódniczce i w czerwonym wełnianym gorsecie, podobnym do kostiumu Sycylianek. Podniosła porzuconą na stopnie ołtarza kapuzę czarną i odeszła tąsą drogą, którą tu przybyła, niespotkana przez nikogo. niedostrzeżona przez oko niczyje i niezostawiająca śladów żadnych przejścia swego. Drzwi samotnej casy czekały ją tak otwarte, jak je zostawiła, wychodząc; nikt nie wrócił do niej, i Marya uczuła się teraz znużoną tak okrutnie, że zwróciła się do sypialnego swego alkierza, aby paść na łóżko. Była jak człowiek, który skończył pracę bardzo ciężką i potrzebuje odpoczynku; serce jej było podobnie lekkim, jak po dokonaniu zadania obowiązkowego, niemniej musiała leż na odpoczynek. Chciała zmówić pacierz, lecz już nie mogła; cały dzień dzisiejszy usta jej nie pokosztowały nawet wody, całą noc przeszła nie zmrzyła powiek. Teraz też przymknęły się natychmiast i nie otworzyły aż dniem jasnym, gdy głosy jakieś zmieszane, krzyki, jęki, płacze uderzyły jej ucho.

Służące już były teraz w domu i krzyknęły jej nad uchem wieść straszliwą, że Francuzi będą tracić na placu ojca Bernarda, bo wykradł z marciało swego syna i ukrył je kędyś.

Ujęto i dwóch stryjecznych braci Bernarda, na wszystkich miał być w tej chwili złożony sąd i zaraz po wyroku miała nastąpić kara — rozstrzelanie!...

Marya słuchała, usiłując wytrzeźwić się ze snu, który powieki jej czynił jeszcze ciężkimi. Ale gdy nakoniec zrozumiała, co jej mówiono, natychmiast skierowała kroki ku drzwiom. Nawet nie przyglądziła długich, zjezonych swych warkoczy i szła prosto przez plac, gdzie widziała grupę officerów francuzkich. Przeprowadzono przed nich więźniów i stali wpośród żołnierzy związani; tłum posepny, złożony głównie z kobiet, patrzył na bolesne widowisko, gdy nagle Marya wkroczyła w jego koło. — To ja zrobiłam, czemu szukacie sprawcy? zawołała i opowiedziała wszystko. Ona, Marya Gentili Montali, córka uwieżionego podest, narzeczona Bernarda Leccia, zabrała wczoraj w nocy ciało jego i pochowała je....

Najstarszym, do którego skierowała się instynktownie z mową swoją, był hr. de Vaux! — Przy był właśnie na miejsce smutnych wypadków, zatroskany niemi, lecz teraz spotkawszy się z czynem, który po wczorajszej egzekucji, mającej roznieść grozę, wydał się zuchwałym i zaciętym uporem, postanowił być surowym. Ale na słowa dziewczyny zdrętwiał. — Nie prawdą jest, co mówisz! — zawołał. — Chcesz się poświęcić za drugich, albo sądzisz, że sprawiedliwość zostanie rozzbrojona przez młodość i nieszczeście twoje. Ale nie... kobieta nie może, nie jest zdolną dokonać tego, o co się obwiniasz...

Wtedy Marya postawiła świadectwo. Niech Francuzi idą do kościoła; we wschodnim jego skrzydle jest kaplica Najświętszej Panny, a w niej grób rodziny Leccia, tam spoczywa młodzieniec stracony, a czarny całun, który owija zwłoki, to sukno jej faldetty.

Rzecz pokazała się prawdą i hr. de Vaux wzruszony, zapytał dziewczyny, zkąd wzięła sił: których-by może nie miał niejeden mężczyzna?

Dała je Matka Boska — Matka Boska tak też trzymała na kolanach zwłoki umęczonego, jak ona, gdy siadła dla odetchnięcia na stopniach jej ołtarza i ulitowała się — dała siły...

Żyzy stanęły w oczach hr. de Vaux. Patrzył chwilę w blade oblicze dziewczicy, w jej oczy czarne, pełne bezdenne, beznadziejnego smutku i zjął go wielki żal, sercem rzucił szlachetny porryw uczucia. Kazał natychmiast rozwiązać i puścić więźniów; kazał, aby goniec wyprawiony również w tej chwili do Bastii, zawiózł tam rozkaz jego uwolniający podestę i innych rajców gminnych. — Wróci dziś jeszcze twój ojciec — rzekł do dziewczyny głosem łagodnym. — Nie mogę już wrócić ci straty drugiej — dodał — wskrzesić tego, który nie żyje, ale niech ma pogrzeb chrześcijański... Niech ksiądz odprawi nabożeństwo nad zwłokami. I tamtych wszystkich — skinął ręką w stronę mar skrwawionych — tamtych nieszczęśliwych niech oddadzą ziemi świętej!

— Czynie to dla mężstwa twego, dla wielkoduszności twojej — rzekł jej, lecz ją, czy opuściły nagle te siły, które dawała dotąd Matka Boska Bolesna, czy serce ogarnęła naraz wdzięczność wielka, ale osunęła się nagle na kollana.

Dźwignięto ją prędko i oddano kobietom, które zawodziły głośnym płaczem, powstałym ze wzruszenia nad czynem Maryi i tej okrutnej radości, że ofiarom nieszczęśliwym ma być dany grób cichy. Ona zaś, gdy ją zaprowadzono do domu rodzinnego, zażądała tylko, aby mogła spocząć. Zdawało się że sen, z którego ją wyrwano, znów ją ogarnia, że nie odpoczęła jeszcze po trudzie swym wczorajszym i dlatego trzeba jej teraz leżnąć cicho. Tak: zmęczona była i nie mogła wstać nawet na powitanie uratowanego przez nią ojca — zmęczona była na śmierć!

Zamknęła oczy prawie w cztery tygodnie po bohaterskim swym czynie, a umierając, zażądała, aby ją pochowano w grobie rodziny Leccia. Zasłubiła się z Bernardo pocałunkiem, który złożyła na zimnych ustach trupa i, jako jego małżonka,

chciała mieć wspólne z nim przebywanie w domu śmierci.

Marya Ilnicka.

Z antologii greckiej.

ANAKREON.

W róży mając posłanie,
Gdy nawinał się malec,
Ukłóła niespodzianie
Pszczoła Erosa w palec.

Ten w krzyk—i ręce składa,
Poleciał, już się tuli,
Skarży się, opowiada
Kiterze, swej matuli.

„O biedny, nieszczęśliwy,
Umieram ukąszony;
Waż mały, gad szkodliwy,
Co latać nauczone,
Rolnik go pszczołą zwie—
Ten zabił mnie“.

A na to ona: Boli,
Dziecino, żądło pszczoły;
Lecz ci, których, w swawoli,
Od twojej ranisz broni,
Dopieroż cierpią oni!

Alf.

LISTY Z ZAGRANICY

J. I. Kraszewskiego.

Emigracja do Ameryki. — Jej przyczyny i konieczność. — Stara Europa i jej przyszłość. — Życie za Oceanem. — Religijny duch w Ameryce. — Odplyw do Nowego Świata. — Koloniści. — Stan Niemiec dzisiejszy — Sara Bernhardt i jej wędrowki po Ameryce. — „Nowy życiorys Webera“ przez J. Benedicta. — Weber i Wagner. — „Chopin“ przez M. Karasowskiego, popolsku. — Sztuka polska. — Zbiory. — „Estetyka“ Lemckiego, wydanie drugie. — Lübkego „Historia odrodzenia się sztuki w Niemczech“. — N. Joly: „Człowiek przed użyciem kruszców“. — Nasze odkrycia. Belletrystyka niemiecka. — Ebers. — Laube. — Lindau. — Teatra.

Skarżym się my na odbierającą nam ludność polską w Poznańskim i Prusach Zachodnich emigracją do Ameryki, ale stokroć gorzej z nią w Niemczech. Prąd ten, który przez lat parę osłabł był nieco, w tym roku znowu zwiększył się bardzo znacznie i urósł do strasznych rozmiarów. Wielu emigrantów doznaje zawodu, rady sobie dać nie umie, wraca nawet, przcierpiawszy — ale, daleko znaczniejszą część ich oswaja się ze stosunkami miejscowymi, osiedla stale, powoli przychodzi do posiadania własności i, choć tęskni za ojczyzną, buduje sobie nową.

Tu w Niemczech, w przeludnionej Saxonii, zawiązują się towarzystwa emigracyjne, mowa jest o tem, by same sobie okręty nabywały dla wygodniejszego przejazdu: słowem emigracja organizuje się jako stały odplyw nadmiaru ludności. Można na to narzekać, jako na klęskę odbierającą siły, gdyż popolicie co jest najmłodszego, najskwapliwiej opuszcza kraj — ale... jest to nieprzełamanym prawem, leży w naturze społeczeństw cywilizowanych, że one w ten sposób nowe kraje zaludniają, zdobywają i cywilizować muszą.

Niewiele poczekawszy, emigracja do Ameryki, zwiększy się emigracją do Afryki, która ma przed sobą przyszłość wielką, jak tylko tam życie stanie się możliwym ubezpieczeniem od miej-

scowych autochtonów. Stara Europa, młotecznik cywilizacji, któż wie? zamrze kiedyś może snem zgrzybiałości, stanie się wielkiem cmentarzyskiem pamiątek. Daleko zapewne do tego jeszcze, lecz... któż wie? Widzimy tak samo na Wschodzie nieme ruiny przeszłości, i na miejscu Babilonu, Niniwy i Teb — stosy gruzów i kamieni. Szczęście, że naówczas pisano na ceglach i kamieniach: z naszego papierowego świata nie zostanie nic, oprócz garstki popiołu.

Emigracja ta do Ameryki w Niemczech, w klasach uboższych, między młodzieżą, całemi rodzinami nawet, jest marzeniem, na które się rzucają ci, co tu zwątpili o sobie. Najwięcej młodzieży wypędza brak pracy, wielu obawa służby wojskowej, niektórych, nadzwyczajne wistocie i ciężkie, podatki. Rzemieślnicy, jak murarze, kamieniarze, cieśle, stolarze i kowale, są pewni, że w Ameryce znajdują chleb i zatrudnienie. Prosty murarz w okolicy Chicago zarabia 96 marek tygodniowo, gdy w Niemczech nawet połowy tego mieć nie może. Życie tam droższe, ale pomimo to oszczędność możliwa, gdy w Niemczech o oszczędzaniu i kapitalizowaniu mowy niema.

Jednem ze zjawisk ciekawych, o których emigranci swoim rodzinom donoszą, jest wielka różnica w usposobieniach religijnych Niemiec i Ameryki. Pospolicie młodzież ztąd odpływająca zupełnie jest zubożniała religijnie i ostygła. Czytaliśmy list młodego chłopca, który, ztąd niedawno odpłynawszy, znalazł się w okolicy Chicago, pomiędzy dawniej tam osiedlonymi ziomkami. Jakież było jego zdumienie, gdy stary ojciec rodziny przy pierwszym obiedzie odmówił przed jedzeniem modlitwę i po stole — dziękczynienie Bogu. Rzecz to już w Niemczech niesłychana, a w Ameryce dotąd, razem z innymi praktykami religijnymi, zachowywana. „Przekonywam się tutaj, pisze nasz emigrant do starej matki, że bez religii żyć nie można“.

Któżby się tego spodziewał?

Myśmy tensam skutek odrodzenia religijnego mieli sposobność obserwować na polskim wychodźcu, powracającym także z Ameryki, aż do mistycyzmu nawróconym.

Tegoroczny odplyw do Ameryki liczą z Niemiec na 200,000 głów. Najgłówniejszym portem, z którego co tydzień odchodzą statki ładowne towarem ludzkim, jest Hamburg. Podróż ubogich pod pokładem, w największych niewygodach, ścisku i biedzie, trwa dobrych dni dziesiątek, do Nowego Yorku. Ztamtąd ten strumień ludzi rozplywa się na wszystkie strony. Przedewszystkiem taki wędrowiec do nowego świata i życia musi z sobą mieć żelazną wytrzymałość, hart stalowy i — silne dłonie. Bez rąk samą głową niewiele się tam robi. Pracować muszą wszyscy.

Ci, co tu na starych pozostają sadybach — stęskają. Stan Niemiec połączonych, na które spadły wielkie brzemia obrony swej całości — pod względem ekonomicznym szczególnie wiele zostawia do życzenia. Wkrótce po obwołaniu Cesarstwa a, po zjednoczeniu, nadzieje rozwoju pomyslnego były niesłychanie przesadzone; ludność gromadnie popłynęła do stolic i miast wielkich. Chwilowo rzucono się do przedsięwzięcia, do budowania, do fabryk; robotnicy wiejsej zmienili się w proletaryat stołeczny. Nastąpił przełom, dotąd trwający. Hyperprodukcja dała się czuć boleśnie. Dziś — czy książę Bismarck swojemi ideami i teoryami gospodarskimi zaradzić potrafi na to? — więcej niż wątpliwa.

Jeden symptomat góruje nad wszystkimi innymi: to ogólne niezadowolenie i narzekanie posunięte do najwyższego stopnia.

Rozumnie uczyniła Sara Bernhardt, że na to bezrobocie i bezgrosze — nie puściła się do Niemiec i ograniczyła Wiedniem, który na chwilę oszalał i rozgorączkował się jej występami. W północnych Niemczech zapal byłby nieochybnie daleko mniejszy i kassa mniej napelniona.

Przyjaciółka znakomitej artystki, opisująca jej wędrowkę po Ameryce, świadczy, że i tam trzeba było dużo umiejętności dla wywołania entuzjazmu, który pod koniec ostygł zupełnie. Opis tej podróży — wielce nauczający. Skreśliła go ręka przyjaciółki, wprawdzie zawiedziona i roz-

czarowanej, lecz przysługę tem genialnej artystce uczyniła niewielką.

Z Anglii dochodzi nas bardzo zajmujący żywot jednego z najsympatyczniejszych muzyków niemieckich, niezapomnianego, zawsze młodego Webera, autora „Freischütza“, „Euryanty“ i tego „Zaproszenia do walca“, tak charakterystycznie niemieckiego, które brzmi dziś jeszcze, jakby świeżo wyśpiewanemi dźwiękami. Syn Webera napisał wprawdzie bardzo obszerny żywot ojca, ale nie mógł czerpać ze wspomnień osobistych, gdyż ojciec go odumarł pięcioletnim. Autor nowej biografii, Juliusz Benedict, był towarzyszem ulubionym, sekretarzem, przyjacielem Webera.

Smutne to życie, ale los prawdziwego artysty, który naówczas, gdy mu chmury przestały niebo zasłaniać, gdy mógłby zażyć trochę szczęścia, umierać musi. Tutaj, u grobu Webera (leży on na katolickim cmentarzu, wśród grobowej kolonii polskiej), żywot jego odczuwa się silniej niż gdzie indziej; widzimy go wśród tego towarzystwa, które go naówczas oceniać nie umiało. Zmarły w Londynie Weber nie wróciłby na swoją ojczystą ziemię, gdyby się o to Ryszard Wagner nie był postarał. Zrozumiałem też dla nas, że przed paru miesiącami, będąc w Dreźnie, odbył z rodziną pielgrzymkę do tego grobu.

Co p. Juliusz Benedict dla Webera, to Maurycy Karasowski zrobił dla Szopena. On pierwszy zebrał jego listy, skrzętnie zgromadził po nim spuściznę pamiątek drogiej i dał go bliżej poznać światu, bo to, co wprzódy o nim pisano, nie wyjmując Liszta — wcale zadowolnić nie mogło.

Napisany poniemiecku żywot ten Szopena, oczekiwał się w Niemczech trzeciego wydania, tłumaczenia na język angielski i francuzki, a teraz, staraniem Gebethnera i Wolffa, ukaże się nareszcie popolsku. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że książka ta, napisana z miłością dla genialnego kompozytora, malująca go nam jego własnymi słowy, listami jego — wzbudzi u nas zajęcie wielkie. Możemy jej przepowiedzieć powodzenie i rozchwytanie.

Do czyjgoż serca nie przemówił ten czarodziej, którego smutek tak polską się odział szatą, takim naszym nucił głosem, tak sympatycznie odzywał się z nieśmiertelnie ludzką tęsknicą i boleścią? Książka Karasowskiego jest niezbędnym dopełnieniem, tłumaczeniem muzyki Szopena; bez niej go zrozumieć nie podobna. W listach jego jest tensam czar, co w muzyce, tensam wdzięk, choć mniej może smutku, więcej wesela, więcej realizmu naiwnego, rozrzewniającego. Nowe materiały, które autor zdobył, książkę jego o Szopenie, nawet dla tych, co małe jej obłamki czytali w „Bibliotece Warszawskiej“ czynią zupełnie świeżą. Ze wszystkich nowości zapowiedzianych w tych czasach ten żywot Szopena w swoim rodzaju będzie najbardziej pociągającą. Śpiewak nasz nie zestarzał się, i współczucie, jakie obudzał, nie ostygło, spotęgowało się jeszcze.

W ogólności na polu sztuk jesteśmy szczęśliwi; cała żywotność nasza, zdaje się, w nie się przelała. Znaleźliśmy tu nawet tak trudne do zdobycia uznanie. Tu i owdzie po Niemczech uciera się wyrażenie — szkoła polska!

Lecz o tym przedmiocie kiedy indziej może obszerniej się pomówić będzie godziło, bo go kilka słowy zbyć się nie godzi.

Malarze nasi mają już imię w Europie; kolej teraz na budowniczych, którzy na Wawelu złożyć mogą dowody zdolności; kolej na rzeźbiarzy, na których czeka posąg Mickiewicza.

Urządza się Muzeum w Krakowie, składa Galeria artystów polskich w Poznaniu w Towar. Przyjaciół Naak; umysł żywo temi kwestyami zajmuje, polemika nawet ich się tycząca dobrym jest znakiem. Z jaką gorącością w Galicyi zaprotestowano przeciwko niewłaściwemu umieszczeniu obrazu Matejki!

Ze sztuką i jej uprawą jest w pewnym związku powodzenie, jakie u nas miała „Estetyka Kar. Lemckiego“, w tłumaczeniu Bronisława Zawadzkiego, którą p. p. Gubrynowicz i Schmidt wydali we Lwowie w r. 1873. Piękny ten przekład, bardzo ozdobne wydanie, w lat kilka się wyczerpało, i oto mamy przed sobą wydanie powtórne (Lwów, Gubr. i Schmidt, 8-o maj. str. 552).

O samem dziele, jego uznanych zaletach, jako nauczającego i przystępnego dla wielkiego ogółu czytelników, rozpisywać się nanowo nie potrzebujemy. Wydawcy nadali mu dla nas urok nowy, mieszcząc w niem dzieł kilka znakomitszych polskiej sztuki, w drzeworytach bardzo ładnych. Wita Stwosza, „Zaśniecie N. Panny“, „Powrót z Golgoty“ Krudowskiego, „Szajlok i Jessyka“ Gottlieba, „Zgon Barbary“ Simmlera, „Elegia“ Siemiradzkiego, „Kazanie Skargi“ Matejki, „Powitanie stepu“ J. Brandta, zdoła to wydanie. Książki tej polecać nie potrzeba; przychodzi ona jako podarek noworoczny, razem z „P. Tadeuszem“ Andriolego i „Albumem“ N. Ordy.

Gdy mowa o sztuce, godzi się wspomnieć drugie, powiększone, kilkuset drzeworytami ozdobione, wydanie, najsłynniejszego popularyzatora history sztuki w ogóle, Wilhelma Lübkego „Dzieje Renesansu (Odrodzenia) w Niemczech“ (Geschichte der Renaissance in Deutschland. Stuttgart. Ebner & Seubert, gr. 8). Pięć zeszytów mamy przed sobą, przepelnionych rysunkami w znacznej części mało znanych pomników sztuki tej epoki. Ile tu motywów znaleźć może artysta, raz przyjąwszy, że styl ten ma swój wdzięk właściwy i odrębny charakter! Lübke na bardzo szeroką skalę zakreślił program dziejów tej epoki i wyczerpująco go wypełnia. Kilka z tych pomników, nas obchodzących też, i dzieje nasze, znajduje się tu odworowanych.

Zajmującym się, dziś tak rozpowszechnionymi, poszukiwaniami archeologicznymi, polecieć możemy dla zorientowania się co w Europie odkryto i zbadano z samej pierwszej epoki kamiennej, najświeższe dzieło w tym przedmiocie P. N. Joly profesora uniwersytetu w Tuluzie „Człowiek przed użyciem kruszców“ (L'homme avant les métaux) którego trzecie wydanie ukazało się w Bibliotece naukowej międzynarodowej p. Aglave (Tom XXX. Paryż, Germer Baillière. 8. 328 pp.) Treściwe to sprawozdanie z poszukiwań nietylko w Europie, ale w Azji i w Ameryce dokonanych, daje pogląd na otrzymane dotąd rezultaty i głównych typów rysunki. Autor nie wiedział o tem, co u nas dotąd odkryto, ale nie jego w tem wina: źródła nasze są dla znaczniejszej części uczonych europejskich niedostępne. Najnowsze odkrycia p. Ossowskiego w okolicach Krakowa, tak samo jak objaśnienia do mapy jego archeologicznej Prus Zachodnich (staraniem s. p. Zygm. Działowskiego wydanej), wyjdą zapewne i z tekstem francuzkim obok. Nie pozyskałimy dotąd takiego na polu naukowym rozgłosu, aby się starano wiedzieć, co się u nas dzieje; pierwsze kroki my sami czynić musimy.

Chciałbym na zakończenie coś powiedzieć o nowościach belletrystycznych niemieckich, lecz, co się rzadko trafia, nie mam pod ręką nic odznaczającego się formą lub treścią.

Tych pisarzów, których nikt nie czyta, oprócz nieszczęśliwych abonentów czytelnicy, moc wielka jest różnego rodzaju opowiadań, lecz niepodobniestwem czas sobie zatruwać niemi.

Ebersa głoszą nowość z historii Hollandyi, Egipt jest wyczerpany. Laube drukuje po nieszczęśliwej Luison, wielce nieudatnej, „Małą księżniczkę“ (Die kleine Princessin) powieść historyczną z ośmnastego wieku. Lindau w swoim przeglądzie (Nord und Süd) dał obrazek z talentem skreślony, niedobrej pary, której wykształcenie i wychowanie życie czyni niemożliwym (Pan i pani Beker). Charakter kobiety, jeżeli się to charakterem nazwać może, z natury pochwycony i ze szczególnem narysowany staraniem. Czy jednak zasługiwał na to? — pytanie. Sens moralny wybitny: żeby się nigdy pod pierwszem zmysłowem wrażeniem piękności nie — żenić. Umysłowe ubóstwo biednego stworzenia, stojącego na pierwszym planie, litosć obudza.

W teatrach stare rzeczy. Nowości dramatyczne znakomitszych pisarzów, broniąc się od upadku na znaczniejszych scenach stołecznych, zwykle się naprzód ukazują, sposobem próby, na pomniejszych teatrzykach, a dopiero, odbywszy ten experiment gdzieś na prowincyi, przenoszą się na większe. Hamburg, Wrocław, Stuttgart i t. p. służą do tych pierwszych występów. Dowiaduje-

my się w tej chwili o powodzeniu nowego dramatu p. Heysego.

Utalentowany Wilbrandt, którego ostatnie dzieło w Burgu nie miało powodzenia, pomimo to mianowany został dyrektorem tego teatru, i, zaprawdę, lepszego wyboru trudno było uczynić.

Na ogłoszony w Wiedniu konkurs — hymn patriotyczny niemiecko-austryacki, — nadesłano — tylko półtora tysiąca poezyj! Samo Drezno miało ich dostarczyć czterdzieści.

Poezya Indian amerykańskich

przez

Sygurda Wiśniowskiego.

(Dokończenie)

Pora wyluskiwania kukurudzy jest najweselszym miesiącem na rezerwacyach współuczylizowanych Indian. Młodzież obojej płci zbiera się z chat sąsiednich na wspólną łąkę i przesiaduje po nocach, oczyszczając złote ziarno z pochw liściastych. Jeżeli która z dziewcząt znajdzie przy takiej okazji szyszkę kukurudzianą barwy czerwonej, wtedy ma w niej dowód jawny, że znajdzie kochanka męznego i musi ofiarować swoją temu między wojownikami, którego wybierze. Jeżeli jednak która z nich znajdzie szyszkę krzywą, podobną kształtem do fajki lub nieokrytą ziarnem u końca, wtedy zrywa sobie boki od śmiechu całe grono jej rówieśnic i wróży jej, że współnikiem jej życia będzie stary złodziej. Wszyscy zaczynają śpiewać w takim razie:

Wa-ge-min, wa-ge-min

Pajmosaid,

Wa-ge-min, wa-ge-min

Pajmosaid.

Bakaju kewajze

Ka sajugizesse

Wa-ge-min, wa-ge-min

Kinabowid

Wa-ge-min, wa-ge-min

Ninzah njugamud 1).

Co znaczy dosłownie:

Krzywy kłosie, krzywy kłosie,

Chodzący nocami,

Stój, małeńki krzywy starcze

I nie uciekaj.

Krzywy kłosie, krzywy kłosie,

Stój mocno.

Małeńki, krzywy staruszk,

Dam ci piosenkę....

Oprócz czci przyrody, upodobania w wojnie, łowach i miłości, poezya indyjska opiewa także wszystkie inne namiętności, wspólne ludziom bez względu na ich narodowość lub stopień kultury. Mają oni hymny na cześć przyjaźni i miłości rodzicielskiej i tym podobnych uczuć. Przykłady tych rodzajów poezyi spotykamy w mowie Czerokozów, narodu posiadającego szkółki, oraz książki szkolne, przełożone z wzorów angielskich. W jednej z nich, chrestomatyi, umiescił ktoś, mędrszy od kolegów swych, białych autorów książek dla ludu czerwonoskórkiego, kilkanaście oryginalnych, z ust ludu wyjętych, wierszyków. Z tej książki wybraliśmy następującą zwrotkę do przyjaciela:

1) Patrz pieśń o *Hjawacie*, Longfellowa, rozdz. XIII, w którym indyjska wieczornica nad kukurudzą jest wiernie opisana.

Tys podobny do pewnego mego przyjaciela,
Ty wyglądasz jak pewien mój przyjaciel;
Mnie się zdaje, żeśmy braćmi czułymi:
Zostańmyż braćmi!...

Między Czyppewami znów, jak zapewnił nas wspomniany powyżej urzędnik, przechowuje się piosenka cudownie piękna w rytmie i rymie, którą sobie przyspiewuje dziatwa, przy wieczornych zabawach. O niej tak nasz znajomy opowiadał:

— Bawiąc pewnego wieczora w siole Czyppewów, usłyszałem chór śmiejących się dzieci. Głos ten zwabił mnie na zieloną łąkę, nad rzekę. Igrające i śpiewające dzieci były niedaleko, ale mnie nie widziały: mogłem więc przypatrywać się ich płasom. Gromadka malców uganiała się za robaczkami świętojańskimi, których miliony świeciły w powietrzu do tego stopnia, że cała równina wydawała się zalaną światłem fosforycznym. Działwa przemawiała w ten sposób do owadów:

Waii waii taj see!

Waii waii taj see!

E now e szyn

Tasze biian ne baii e wee

Bee egaiin-be egaiin-e wee

Wa wan taj see

Wa wan taj see

Wsa sa kiin ajn dze giin

Was sa kiin ajn dza giin.

(Latająca muszko ognia,

Latająca muszko ognia,

Poświeć mi do łózczecka,

Poświeć mi do snu ...).

Dotychczas przytaczaliśmy tylko jedynie pieśń ludowe, których twórców nie znamy z nazwiska. Byli także, i żyją teraz nawet, poeci indyjscy, których utwory pojawiają się niekiedy w druku, już to w gazetkach wydawanych na rezerwacyach współuczylizowanych, osiadłych na roli plemion Czerokozów, Osędzów i tym podobnych narodów, w tak zwanem Terrtoryum Indyjskiem, już w czasopismach amerykańskich i kanadyjskich. Jeden z takich bardów, Ba-bam-wa-zehig-ekwa, doczekał się tego zaszczytu, iż pieśni jego zostały zebrane w tomik i przełożone w całości. Był to jedyny zbiór tego rodzaju, jakiśmy znaleźli w niezmiernej Bibliotece Astorów w New-Yorku. Wybraliśmy zeń następującą próbkę stylu poety o długim nazwisku, z którego to przykładu przekona się czytelnik, że Indianie posiadają żywe poczucie natury. Urywek ten wzięliśmy z poematu p. t.: *Zaba na wiosnę*. Apostrofuje on zimę w ten sposób:

Patrzaj, jak nas tłoczy duch biały,

Tłoczy nas, tłoczy nas, ten ciężki, długi;

Przygniata nas do ziemi, mrozem ściętej.

Ach, bardzo ty ciężki, duchu bardzo biały,

Ach, tyś zimny, zimny, zimny!

O przestań biały duchu, któryś spadł z obłoków,

O przestań nas gniesić i straszyć!

Ach, kiedyż znikniesz? Kiedy wróci wiosna?...

Od czasu zjawienia się między Czerwonoskórcami Missyonarzy i nawrócenia części niektórych plemion indyjskich na wiarę chrześcijańską, zjawiała się także poezya indyjska religijno-chrześcijańska, zapelniająca znaczniejszą część książeczek, wydawanych staraniem białych ludzi, dla użytku autochtonów Ameryki. Z bardzo rzadkimi wyjątkami, nie ma ona żadnej wartości dla badacza oryginalnej twórczości poetycznej Indian, a to z tej prostej przyczyny, że najpierw ogranicza się zwykle na tłómaczeniach psalmów biblijnych i angielskich hymnów kościelnych, a powtóre, tłómaczami nie byli Indianie, ale OO. Missyonarze. Znajdują się wszakże, jak już nadmieniliśmy, rzadkie wyjątki od tej reguły, jak np. następujący przekład dwudziestego trzeciego psalmu, wykonany przez Indianina z narodu Algonkwina. Przy-

taczamy text jego polski pod tłumaczeniem indyjskim.

Poindyjsku:

Mar teag niikkwenaabiku
Szepsze nanmaiik Monedo,
Niisepsinwahik aszkoszkwat,
Niitiik ochtopagod.

(*Popolsku:* Pan jest pasterzem moim; na niczem nie będę jeździł. Na paszach zielonych pozostawił mnie, a do wód cichych prowadzi mnie).

Nagiin nakketeahog koinoch,
Watomochkiniich wonk,
Niitiiss ∞ imiik iit sampio waaj,
Newiicz ∞ wesnok 1).

(Duszę moję posila, prowadzi mnie ścieżkami sprawiedliwości dla imienia swego).

Wittonkaiichtamiit pomiiszaon,
Mupp∞ oik ∞ naiichkoe
Woskechettiięk mo niikguel tam ∞,
Newiicz k ∞ wetomach.

(Choćbym też chodził w dolinie mojej śmierci, nie będę się bał złego, albowiem Ty ze mną; łaska Twoja i kij Twój, te mnie cieszą).

Kiissiiskwiiniim nappiichkiik,
Weetepimnee nachpea,
Wak woj Monedo n ∞ tallamwajcz,
Pomponetiifos haii.

(Przed obliczem mojem gotujesz stół przeciwko nieprzyjaciółom moim; pomazałeś olejkami głowę moję, kubek mój jest opływający).

Inijeiak monaneteak,
Niilasiikkakkwimasz,
Tochsochke pomatam wekit Monedo,
Mishem niittajn piz.

(Nadto dobrodziejstwo Twe i miłosierdzie, pójdą za mną po wszystkie dni żywota mego, a będę mieszkał w domu Pańskim na długie czasy).

Nieśmiać przedłużać tego pobieżnego zarysu cytatai niezrozumiałemi i niedokładnemi, z powodu wymienionych trudności, przekładami kończymy niniejszą wzmiankę o poezji indyjskiej tłumaczeniem hymnu, słyszanego na własne uszy przed kilku latami w kapliczce Czyppewów, w Wisconsin, niedaleko miasta Winony, gdzie, jak wiadomo kwitnie bardzo liczna kolonia Wielkopolan i Kaszubów. Jeden z dość przyzwoicie ubranych pobożnych Czerwonoskórców, przoszony przez nas po wyjściu z kaplicy o przetłómaczenie hymnu podsluchanego przez nas, udzielił go nam chętnie, choć go ta praca niemało trudu i jankania się kosztowała. W chęci wynagrodzenia go za okazaną uprzejmość, zaprosiliśmy go na przekąskę do poblizkiej karczmy, ale dumny autochton zmarszczył się i obwijając się ściślej w kołdrę białą, kosmatą, służącą mu zamiast płaszcza, mrucał odwrócony od nas:

1) Czytelnik zauważył, że w powyższem powtórzeniu psalmu indyjskiego alfabetem naszym znajduje się częstokroć liczba 8, położona horyzontalnie: ∞. Jest to znak przyjęty przez Eliota, pierwszego gruntownego badacza języków indyjskich, na przedstawienie brzmienia, nieistniejącego w żadnym z języków aryjskich, a znak ten ustalił się w pisowni książeczek wydawanych dla Indian.

— Głupi biały! Ja mam tysiąc, dwa tysiące, pięć, sześć tysięcy dolarów: on jednego dolara. Ja nie potrzebuję częstunku od białego człowieka.

Poczem ten właściciel rozległej fermy i trzód licznych w głębokim Wisconsinie, wskoczył do klasy w wagonie, umyślnie dla podróżnych Czerwonoskórców przeznaczony i pojechał sobie do domu *gratis*, albowiem żadnej z dróg żelaznych na Dalekim Zachodzie nie wolno żądać wynagrodzenia za przewóz jednego lub więcej z pierwotnych panów tej krainy. Przekład zostawiony nam przez uprzywilejowanego podróżnika daje się powiązać w następujący sposób:

Niech pobożność i modlitwa
Stanie się regułą naszego żywota,
A tylko Wielkiego Ducha
Miłujmy.
Wszelkich złych dróg ludzkich,
Wszystkiego, co jest złe i słabe,
Wszystkiego złego, co żywo unikajmy,
Jak wiatru skażonego.

Porównawszy ten i podobne mu utwory poetyczne Indian ucywilizowanych w szkółkach z samorodnymi objawami poetycznego geniuszu dzikich plemion, nie możemy utrzymywać, jakoby ukształcenie nastrojało improwizatorów indyjskich do śmielszego, piękniejszego polotu. Drukowane hymny religijne ich własnej kompozycji są zawsze tak prozaiczne, jak śpiew ich w szkółce wytressowanych, fałszywych chórów nie dorównywa rodzimej, tęsknej, szum wichru i plusk jezior przypominającej melodyi.

RUCH MUZYCZNY.

Na zakończenie starego roku.

Czytelnikowi naszemu winniśmy sprawozdanie z kilku ważniejszych faktów muzycznych ostatniego miesiąca. Mając niewiele wyznaczonego sobie miejsca, musimy je dać krótko.—Jednym z najmiłszych wspomnień dla sprawozdawcy, były dwa koncerty dane w Teatrze przez młodzieńckiego skrzypka, Maurycego Dengremont'a. Osobistość to nader ciekawa, gdyż mimo swych 15 lat wieku, przedstawił się on nam ze wszystkimi warunkami gry skończonej i poważnej, jakich zwykliśmy oczekiwać tylko od starszych wiekiem i wyrobionych dłuższą pracą artystów. Mechanizm jego jest nieposzlakowany, pokonanie trudności wzorowe i spokojne, styl szeroki, nigdzie affektacyi, pamięć wyborna, siła tonu nawet dostateczna w śpiewnych miejscach, i tylko zamała przy szybkich bardzo passażach. Dengremont grał koncert Mendelssohna wybornie, oraz dwie części koncertu (1-go) Brucha, żałujemy, że nie grał Finału. Z innych utworów wyróżniamy dwa polonezy: Wieniawskiego i Vieuxtemps'a. Z nim wspólnie dał się słyszeć fortepianista Leitert, który świetnym mechanizmem włada, ale i wybór sztuk i charakter gry jego nie sięga w sferę liryzmu. Osób w Teatrze na obu koncertach było bardzo niewiele, zawsze jednak nierównie więcej niżeli na koncertach znakomitej i dziś jeszcze śpiewaczki pani Trebelli, które straszliwymi świeciły pustkami. W Towarzystwie Muzycznym dały się słyszeć

trzykrotnie panny Bulewskie, z których jedna gra na skrzypcach, druga na fortepianie. Skrzypce w kobiecym ręku, zawsze to nowość, i nowość przyjemna, to też publiczność nasza życzliwie przyjmowała występy panien Bulewskich, w których skrzypce główną grały rolę. W stylu panien Bulewskich nieraz przebija się affektacya, dowodząca, że albo nie przechodziły porządnej nauki, albo jej używały zbyt krótko, ale talenta są wyraźne, co się za każdym występem lepiej wydawało. Wśród grona amatorów i amatek występujących ostatnimi czasy w Towarzystwie Muzycznym, wyróżniły się nader korzystnie śpiewaczki: pani Morin-Pons uczennica pani Viardot-Garcia, oraz pani Idelson (z domu Brainin) uczennica pani Marchesi z Wiednia. Pani Morin-Pons śpiewała na wielkim koncercie arya z „Freischütza“—zaś pani J. wyświadczyła prawdziwą usługę Towarzystwu, oraz zaprezentowała swój talent z podwójną świetnością, przyjmawszy łaskawie zastępstwo za kogoś innego, i śpiewając wybornie, bez przygotowania, dwie arye wielkie: z „Normy“ i „Cyrulika“. Szkoda, że przy pięknym głosie i wysokim poczuciu muzycznym, pani J. ma za ostrą emisyją głosu, zwłaszcza w tonach wysokich, co może bardzo szkodliwie oddziaływać na przyszłość jej talentu. Tej wady bynajmniej nie ma pani Morin-Pons, której nuty, tak wysokie, jak i niskie, nigdy nie są zajaskrawe.

Pani Jakowicka, zaproszona przez Dyrekcyę Teatrów na gościnne występy, ze zwykłą swą umiejętnością wykonywa najtrudniejsze partye, lubo już nuty wysokie trochę niekiedy są za ostre i wibrujące, zaś niskie bezwarunkowo brzydoko forsowane registrem piersiowym.

Opera włoska zakończyła swój sezon „Mefistofelem“ Boita, a przedtem wykonała nader starannie operę nowego kompozytora, pana Catalani, pod tytułem *Elda*, dzieło świadczące nie tyle o wybitnym talencie, ile o umiejętności autora, jest bowiem naładowanym i przeładowanym efektami silnej instrumentacyi, ale do serca nie przemawia. Pan Ciampi, basso-buffo, wystąpił dwukrotnie z powodzeniem, już po odejździe trupy. Śpiewaczkę, pannę Fossa, tremolującą okropnie w górze, zegnaliśmy bez żalu, mimo jej wybitnego talentu dramatycznego.

Do rzędu sympatycznych *debiutów* policzyć musimy i grę na fortepianie panny Anny Kononickiej, uczennicy Marka i Liszta, która dała się słyszeć na jednym z ostatnich wieczorów Towarzystwa Muzycznego. Gra to spokojna, szlachetna, technicznie ładnie wyrobiona, frazowanie dobre, uderzenie ładne—ogólny charakter jednak zablady i zamało samodzielny.

Czytelniku! bądź w Nowym Roku „szczęśliwym, i zachowaj sympatyę dla sprawozdawcy, który tak... krótkie pisze artykuły.

Jan Kleczyński.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się dokończenie powieści pod tytułem: **Warto się namysleć.**

OGŁOSZENIA DO BLUSZCZU przyjmuje wyłącznie kantor agenturowy BERNARDA BERSOHN w Warszawie przy ulicy Nowy-Świat Nr 67.

TREŚĆ. Dwa grobowce, (poezya). — Obowiązek, streszczenie ze Smiles'a, (dokończenie), przez Maryę Ilnicką. — Przeklęty dworek, nowella, (dokończenie), przez Bolesławicza. — Marya Gentili Montalti, (dokończenie), przez Maryę Ilnicką. — Listy z zagranicy, J. I. Kraszewskiego. — Poezya Indian amerykańskich, (dokończenie), przez Sygurda Wiśniowskiego. — Ruch muzyczny, przez Jana Kleczyńskiego.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 15 Декабря 1881 года